

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej z rana do 7-ej z wieczora.

Prenumerata kwartalna w Warszawie 1 rb., z przes. poczt. 1 rb. 25 kop.

Nr. 44. **Warszawa, d. 29 (16) Października 1904 r.** **Rok III.**

JASKINIA W KADZIELNI POD KIELCAMI.

(Fotografja p. Karola Koziorowskiego).



Jaskinia ta, odkryta w lipcu r. b. (patrz Nr. 29 „Naokoło Świata") jest zapewne tylko częścią rozleglejszej jaskini, ciągnącej się pod całą górą i ma prawdopodobnie łączność z drugą jaskinią, odkrytą przed kilkoma laty i trzecią, oddawna znaną pod nazwą „Djablej dziury". W namule, u wejścia do jaskini, znaleziono szczątki jakiegoś kopalnego jelenia. Zdarza się

to nie po raz pierwszy, przy robotach górniczych bowiem, prowadzonych tutaj (marmur dewoński, tworzący górę, palony jest na wapno w piecach wapiennych u podnóża góry) znajdowano już niejednokrotnie kości rozmaitych zwierząt zaginionych, których pokaźny zbiór posiadają właściciele pp. Erlichowie. Znaleziono nawet dwukrotnie kości ludzkie, pochodzące, jak się zdaje, z czasów przedhistorycznych. Należy przypuszczać, że namuł, pokrywający dno nowoodkrytej jaskini, zarówno jak i innych jaskiń, kryje więcej takich cennych dla nauki zabytków. Liczne jaskinie w wapieniach jury Krakowsko-Wieluńskiej (okolice Ojcowa) doczekały się już badaczy nietylko śród naszych uczonych (Waga, Zawisza, Ossowski i spółpracownik naszego pisma St. J. Czarnowski), lecz i obcych (prof. Römer) jaskinie w wapieniach dewońskich Kielecko-Sandomierskiej „wyspy paleozoicznej" jak dotąd, w mniejszym stopniu zwracały na siebie uwagę badaczów. Stąd pochodzi, że znacznie mniejsza liczba tych ostatnich jaskiń jest znana. Wykaz ich można znaleść w artykule Hipolita Święcickiego, profesora b. wyższej szkoły realnej Kieleckiej p. t. „Góry południowo-zachodniej części Królestwa Polskiego (Encyklopedja Rolnicza 1874, t. II str. 627—637, mapy).

Z uznaniem podnieść należy staranną opiekę, jaką otaczają pp. Erlichowie znajdowane w Kadzielni zabytki. I obecnie odkryta jaskinia jest zamknięta, a namuł nienaruszony w oczekiwaniu na badania naukowe specjalistów.



LEOPOLD JANIKOWSKI.



W górach Kryształowych.



Na zachodnim wybrzeżu Afryki, począwszy od przylądka Formosa aż do Cape-Lopez czyli blizko równika, zatacza się głębokim półkolem zatoka Biafra.

Zatoka ta jest jedną z najpiękniejszych w Afryce, posiada bowiem nietylko cały system wód słodkich, biegnących z głębi ku morzu, lecz i łańcuchy gór, urozmaicających brzegi.

Łańcuchy owe rozpoczynają się od Kamerunu, wznoszą do 14000 stóp, następnie, zniżając się stopniowo, przerywają się gdzie niegdzie i przybierają rożne nazwy, zależnie od brzegów, nad któremi panują.

Mamy więc, oprócz Kameruńskich, góry Batanga, Bahta, Benito, Mitra i na koniec ostatnie Góry Kryształowe w Zatoce Corisca.

Zatoka, posiadłość hiszpańska, rozpoczyna się od Cape Saint-Jean i kończy na Cape Esteiras, w pobliżu rzeki Gaboon—ma więc kilkadziesiąt mil długości. Leżą w niej dwie małe wysepki Eloby, oraz trzecia większa, Corisco, 14 kil. □ mająca.

Eloby jest zamieszkana tylko przez kilkunastu białych. Domy gubernatora, 3 faktorje, wreszcie misja katolicka, oto i cała kolonja. Na wprost wyspy, 6 mil od brzegu odległej, wpada do morza rzeka Muni.

Muni ciągnie się zaledwie mil 30 i jest właściwie ujściem różnych rzek jak Noja, Utamboni, Mbanje, Toczi, Utongo i innych. Wszystkie biorą początek z gór Kryształowych. Najdalej sięgającą w głąb jest rzeka Utamboni, przy której w pobliżu pierwszych wodospadów, założyłem czasowo stację i z niej odbywałem ciągłe wycieczki, dla poznania kraju i jego mieszkańców.

Przed niedawnym czasem wszystkie wymienione wyżej rzeki były zamieszkane na wybrzeżach przez liczne plemiona Balengi i Bulu.

Jednakże olbrzymi, liczący się na miljony, szczep Mpamgue v. Fan, rozpoczął emigrację ku brzegom. Szczep to dziki, ludożerczy, odznaczający się odwagą i wojowniczym usposobieniem; gdzie tylko ukaże się, wypiera da-

wnych osadników, zajmuje siłą lub podstępem ich miasta; jako zwycięzca, dyktuje prawa i jest postrachem dla wszystkich nadbrzeżnych plemion, począwszy od Kamerunu aż do rzeki Ogowe. Dawni mieszkańcy ustępują miejsca przybyszom, rozpraszają się, giną powoli. To samo dzieje się w Górach Kryształowych i na brzegach rzeki; dziś, są one zalane przez tysiące Mpangue, codziennie, coraz nowe szeregi emigrantów przybywają, powstają nowe miasta i codziennie słychać hasła wojenne najeźdźców.

Rzecz naturalna, iż w tych warunkach, pobyt w danym kraju, jest niebezpiecznym. Mpangue, witają każdego białego nieufnie, boją się, lecz, występując zbiorowo, zamykają mu drogę w głąb kontynentu.

Na rzece Muni np. tylko przy ujściach rzek pozwolili otwierać faktorje, górne zaś wody były zwiedzane wprawdzie przez białych, lecz na budowę domu nigdy nikomu nie udało się uzyskać pozwolenia. Wiedząc, że drogą dobrowolnych umów nic nie zrobię, postanowiłem, po przybyciu, nie pytając się nikogo, osiedlić się w górach, licząc na to, że fakt spełniony może narobi hałasu, lecz ostatecznie nie dam się wyrugować, raz zająwszy miejscowość. Napotkałem jednak więcej przeszkód, niż przypuszczałem.

Mpangue, sądząc, że zwiedzę tylko wodospady Utamboni i powrócę na brzeg, nie robili przeszkód w dostaniu się do nich — dopiero, spostrzegszy, iż rozbiłem namioty, gromadzę materjał na budowę, wszczęli alarm. Wysłali przedewszystkim deputację z ostrzeżeniem, że ani gruntu nie dają, ani nie pozwalają korzystać z lasu; że dom, chociażbym go wybudował, zostanie zburzony, a ja głową przypłacę opór i t. p.

Na nic się nie zdały tłómaczenia, iż tylko dla zwiedzenia kraju przybyłem, a towar, jaki mam z sobą, na podarki, a nie dla handlu przeznaczony. Odpowiadali jedno:

„Chcesz tangani—wojny?—zostań!"

Wojna zapowiadana wkrótce się rozpoczęła. Robotnicy, murzyni brzegowi, których wysyłałem w las dla rąbania drzew bambusowych, zaczęli ginąć, żadnej prowizji nie mogłem dostać, komunikację z brzegiem morza przecięto, sądząc słusznie, że głodem mnie wezmą. Bębny wojenne sygnałowe naokoło namiotu oznajmiały, że las był zajęty przez wrogów, którzy jednak, pomimo przewagi liczebnej, bali się wprost uderzyć, wiedząc o wyższości broni europejskiej. Od czasu do czasu tylko kulka, z gąszczy puszczana, przebiegła około namiotu. Nawet wody czerpać nie pozwolili, a gdym sam to robił, strzały z przeciwległego brzegu przeszkadzały mi w robocie.

Otoczywszy namiot silną palisadą, mógłbym, pomimo wszystkiego bardzo długo wytrwać, gdyby nie brak ryżu dla mojej karawany. Gdy się prowjant zaczął kończyć, po paru miesiącach oblężenia, trzeba było urządzić wycieczkę na brzegi po nowy zapas. Rozdzieliłem więc siły; połowa pozostała w domu, z drugą popłynąłem w dół rzeki i ze zdziwieniem, bez żadnych przeszkód, spokojnie dostałem się do Eloby.

Powrót jednak był odmienny, gdy bowiem, w trzy dni potym, przepływałem tą samą drogą, Mpangue urządzili napad. Na zakręcie rzeki oczekiwało kilkuset krajowców na brzegu, reszta w łodziach, z dzikim wrzaskiem otoczyła moją szalupę, chwytając wiosła, ciągnąc ku wybrzeżu. Stało się to tak szybko, że broni palnej użyć nie mogłem; grubym hebanowym kijem waliłem po głowach naokoło siebie; jedni się cofali, lecz zaraz w ich miejsce cisnęli się inni, tak że obrona ręczna nie wieleby pomogła, gdyby nie szczęśliwy dla mnie wypadek. Oto tłómacz mój, pochodzący z innego plemienia, widząc niebezpieczeństwo, wskoczył do wody i przewrócił łódź królewską. Powstało zamieszanie, wszyscy rzucili się na ratunek tonących kacyków, obciążonych mosiężnemi ozdobami i bronią. Skorzystałem z tej chwili: zepchnęliśmy łódź na prąd silny i szybko odpłynęliśmy. Próbowali gonić bezskutecznie; tłum posłał kilkadziesiąt strzałów, lecz dostałem się szczęśliwie do domu i dwóch tylko z wioślarzy otrzymało rany.

W jakiś czas potym dzicy znów urządzili napad, zrabowali towar i wszystkich moich ludzi uwięzili. Wezwałem pomocy gubernatora hiszpańskiego. Przybył z okrętem wojennym, uwolnił więźniów i zagroził zbombardowaniem każdego miasta, które ponawiać będzie napaści.

Po części groźba pomogła, a po części sprzykrzyła się paromiesięczna wojna krajowcom. Pewnego dnia kacykowie wszystkich miast na rzece Utamboni i z gór, w asyście licznych wojowników, zjawili się przed moją improwizowaną twierdzą i oświadczyli, że przybywają dla zawarcia zgody tj. z przyjacielskim palawrem. Zawarliśmy więc traktat przyjaźni. Królikowie przysięgli na swoje fetysze, iż pozostawią mnie w spokoju—ja przyrzekłem w zamian handlu nie prowadzić, dawać podarki kacykom i wreszcie nie sprowadzać więcej białych do siebie.

Nastąpiła zwykła u ludów dzikich zamiana krwi. Nacina się lekko prawą rękę—następnie kacyk w mojej krwi a ja w jego maczam orzech zwany „kola" i zjadając go, wymawiam:

„Z chwilą tą przyrzekam ci być bratem".

Ceremonję zakończyły tańce, śpiewy, rozdział upominków, złożonych z tkanin, tytuniu i błyskotek.

Od chwili zawarcia przymierza, byłem zupełnie spokojnym, wykończyłem dom, bezbronny odbywałem wycieczki. Powoli zaprzyjaźniliśmy się, zyskałem zaufanie tych dzikich dzieci, tak że w końcu, nie kryli się nawet z obrzędami religijnemi, pozwalając asystować przy nich.

Religja Mpangue, podobnie jak i prawie wszystkich ludów dzikich, jest zbliżoną pojęciami do religji chrześcijańskiej, lecz zarazem zbieraniną złych i dobrych pojęć. Wierzą w Istotę Najwyższą, fetysza niewidzialnego, którego zowią „Ambjani" i w nieśmiertelność duszy.

Fetysz ów, stworzywszy świat, posadził przedewszystkim 3 rośliny: banan, manjok i kukurydzę (jarzyny ulubione murzynów) następnie stworzył ludzi i zwierzęta.

Z początku fetysz przebywał w kraju czarnych, zamieszkując wodospady i dziewicze lasy, w górach położone. Gdy jednak murzyni, zamiast zadowalać się tym, co dostali, zaczęli pomiędzy sobą ciągłe wojny prowadzić, fetysz rozgniewany, opuścił kraj czarnych, przeniósł się daleko za morza do kraju „tangani".

Duchy zmarłych idą na usługi fetysza; niektórym duchom dobrym, Ambjani jako nagrodę daje drugie życie, obleka ich w białą skórę i to są właśnie tangani czyli ludzie biali.

W pojęciu więc Mpangue, biali kobiet nie mają. Co do mnie np. twierdzili, iż pochodzę z ich plemienia, że dawniej byłem ludożercą, zakończyłem raz życie w Afryce—lecz Ambjani, dając mi inną postać, rozkazał mi powrócić do dawnej ojczyzny.

Bo i dlaczegóż—twierdzili, tylu tangani jest nad brzegiem morza, a żaden do nas przyjść się nie ośmielił? Ty pierwszy przybyłeś, nie obawiając się, bo jesteś nasz, bo to dawna twoja ziemia!

Nie zbijałem owych oryginalnych dowodzeń, przeciwnie, starałem się nawet je podtrzymać, gdyż podobne przekonania, rzucone jeszcze przez fetyszerów, były dla mnie najlepszą wobec tych dzikich obroną.

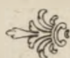
Mpangue, będąc pracowitsi od innych murzynów, i swego boga obarczają różną pracą. Ambjani np. przy pomocy duchów, wyrabia tkaniny, broń i inne towary; gdy ma duże zapasy, zwołuje białych i dając towar, rozsyła po różnych stronach, a więc i do Afryki, w celach handlowych. Często zapytywali się naiwnie, co też to fetysz robi z kością słoniową, złotem, które dla niego w kraju czarnych skupują?

Raz przybyła do mnie deputacja ludzi poważnych z oryginalną propozycją: „Wiemy mówili—iż tangani znaczkami dziwnemi porozumiewają się pomiędzy sobą; przecież i te papiery, które tobie z brzegu przynosimy, mówią, co się dzieje w twym kraju — otóż prosimy cię, imieniem całego plemienia, napisz nam list do boga! Niech wraca do nas! Przyrzekamy posłuszeństwo, wojen nie będziemy prowadzili. Starzy ludzie mówią, że dawniej, gdy Ambjani przebywał śród nas, było wszystkim lepiej, byliśmy spokojni w swych krainach, bogatsi, dziś wszystkie korzyści mają ludzie biali, ulubieńcy fetysza! Proś, niech Ambjani nie karze więcej, niech na nowo śród nas zamieszka!"

(C. d. n.)



PIOTR LOTI.

 # INDJE. 

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.



(Ciąg dalszy.)

Wielka piramida biała w różane włókna, wciąż oddalona odemnie, mieści się bowiem w środku czworoboku grodzonego, nieprzeniknionego, który zamierzyłem okrążyć. Jest ich natomiast wiele innych, małych, przyczepionych do wewnętrznej ściany obwodu – i te mogę widzieć zblizka; wszystkie mają ten sam kształt bani, jaja krokodylego, wszystkie atoli są czarniawe, popękane, zwiastujące dawność niezwykłą. Ta tylko — olbrzym środkowy, ta, którą widzę zdala, jest bielona i sprawia wrażenie rzeczy nowej, lecz tak dziwnej, nieznanej! Dziwaczna ta budowa, prawie dziecięca, z tym kręgiem bronzowym, z temi szpicami błyszczącemi, rzekłbyś, przez ludzi z innej planety pomyślana, przez ludzi księżycowych. Rzecz prosta, jak wszędy, tak i tu, jest schroniskiem całego narodu ptasiego, który oto poczyna już w przestworach swoje krążenie oszalałe.

Dochodzimy—ja i małe dziewczęta—do trzeciego boku grodu zakazanego. Z tej strony wiele pięknych marzycielek zdobi równianką tarasy okoliczne, a na ulicy targ się odbywa; sprzedają owoce, ziarna, muśliny barwione i kwiaty.

Dla nas, cośmy na dole, słońce już zaszło, atoli wielka piramida widzi je jeszcze, cała blaskami różanemi przystrojona. I to, zdaje się, jest już wkrótce moment przechadzki zmierzchowej małp świętych, które pod tym względem mają zachcenia niezmienne. Pierwsza z pośród nich ukazuje się już w górze świętego muru, wspina się na blanki, sadowi się i drapie; gdyby się nie poruszała, wziąłbyś ją za jedno z tych bóstw drobnych, drobnych potworków, które wieńczą rzeźbą wierzchołek muru; z kolei druga się wynurza i zajmuje występ sąsiedni; potym trzecia, czwarta; wszystkie blanki, ugarnirowane małpami.

Dzień szybko zapada; jeden tylko wierzchołek piramidy promienny jeszcze, różany, w szarym i starym zespole świątnicy przeogromnej. W górze murów: małpy koloru kamienia, małe potworki rzeźbione koloru małp; jastrzębie już usadowione. W przestworach: chmary wron i gołębi, wciąż bardziej zacieśniające krąg lotu wokół dyska bronzowego, którym piramida zwieńczona.

Oto pora spaceru małp. Jedna z nich zsuwa się, schodzi, zeskakuje na ziemię, bezwstydnie przecina ulicę, pośród gromady przekupniów, którzy jej ustępują; inne idą za nią sznurem, na czterech łapach. Rzekłbyś—psy, tylko na nieco wyższych łapach, przytym w ruchach podrygujące i pocieszne, z ogonami, jak świece. Pierwsza, przechodząc, kradnie śliwkę z kobiałki przechodnia; następne czynią to samo, na tym samym miejscu, a przekupień za każdym razem kłania się bez protestu. Obecnie wspinają się już żwawo wzdłuż domu i nikną orszakiem tajemniczym na dachu.

Z zewnętrznej strony świątyni, naprzeciw muru świętego, w czymś, co jest jak budka strażnicza, zrobiona z gałęzi i z mat palmowych, zamieszkuje bałwan Pandawa, podwójnej wielkości człowieka, czarny i straszny. Stary kapłan, wstąpiwszy na stołek, zawiesza mu na szyi wieniec z żółtych gwoździków; zapala mu małą lampkę, rozkołysuje mu mały dzwoneczek, z wielu pokłonami, potym zasuwa na noc firanki z mat i odchodzi, wciąż składając pokłony. Coś szybkiego, raptownego musnęło mnie po twarzy: to niedoperz z wielkiego gatunku, zwanego rudziakami, który wyleciał przedwcześnie i krąży bardzo nizko; z całą ufnością, to tu, to tam uwija się pośród tłumu.

Ostatni zarys różowy trzyma się jeszcze na szpicu wieży — i oto nastaje godzina Brahmy; świątynia napełnia się muzyką i wołaniem; zespół tego dobiega do mych uszu rozbity. Co dzieje się tam, w głębi tego miejsca strzeżonego? Jakie symbole, straszne bez wątpienia, otrzymują tego wieczoru uwielbienie? A wobec tych upostaciowań, jaki wyraz przybiera modlitwa w tych duszach, jeszcze bardziej dla mnie nieprzeniknionych, niż ta świątynia?..

Tymczasem jedna z małp, jedyna, wzgardziwszy przechadzką, pozostała tam na szczycie muru siedzącą, z ogonem spuszczonym, obrócona plecami do ludzi z zewnątrz. Smętna, patrzy tam z góry, jak dzień kona na tej piramidzie świątyni, gdzie już układają się z trzepotaniem chmary wron i gołębi, które po niebie krążyły; wszystkie włókna, wszystkie występy tego potwornego ogromu czarne teraz od ptactwa, które nadomiar trzepoce skrzydłami. Widzę już tylko sylwetę małpy, jej grzbiet prawie ludzki, małą jej głowę myślącą, dwoje tych uszu sterczących,

odrzynające się od bladości wciąż jeszcze nieco różowej olbrzymiej wieżycy...

Jeszcze jedno muśnięcie, jak wachlarzem, tajemne; to niedoperz ów, lecący i powracający ciągle, bez zmiany linji kolistej, którą sobie zakreślił.

Małpa spogląda na wielką piramidę; ja spoglądam na małpę; dziewczęta na mnie; i równa otchłań niezrozumienia oddziela to wszystko — jedno do drugiego...

Jestem z powrotem obecnie prawie u wejścia głównego świątyni, na placu żwirowym, do którego dotyka najdłuższa ulica Jaggarnauthu. Napływ tłumu wciąż się powiększa w oczekiwaniu tej pielgrzymki, którą już zwiastowano, i której tylko co nie widać.

Tuż są i krowy święte, które przechadzają się śród tłumów. Jedna z nich, najbardziej przez dzieci pieszczona, olbrzymia, cała biała, prawdopodobnie bardzo stara. Jest jedna mała, czarna, która ma pięć nóg, i jedna szara, która ma sześć; nadliczbowe te nogi, nadto krótkie, by mogły dotykać ziemi, wiszą wzdłuż boków, jak członki martwe i nieodżywiane.

Lecz oto nakoniec tam w głębi ulicy zarysowują się pielgrzymi. Dwustu czy trzystu ich społem. Mają wielkie płaskie parasole, z rogoży barwionej, których widok zdumiewa, bowiem są wszystkie otwarte teraz w mroku zupełnym; sakwy i monety miedziane zwieszają się u pasa; amulety, muszle na piersi pomieszane; tors i twarz popiołem osypane. Idą krokiem szybkim, jakby ogarnięci gorączką religijną na widok piramidy wielbionej.

Z chóru, który jest ponad wejściem do świątyni, urządzają im muzykę powitalną; podźwięczają z góry tam tamy, krzykami ludzkiemi poparte, a trąby święcone beczą przeraźliwie.

Postępują krokiem przyspieszonym. Po przybyciu na plac, rzucają na ziemię parasole, sakwy, manatki, wpadają w ciżbę przez wrota, strzeżone przez monstra kamienne, pędzą po stopniach, jak obłąkańcy, i nikną w świątyni, jak w paszczy.

Noc. Idę na odszukanie „Domu podróżniczego", który, jak wszędy w miastach indyjskich, musi być gdzieś na krańcu, prawie za miastem.

Znajduję go w drobnym ustroniu piaszczystym, gdzie noc już w pełni przezrocza, łagodna, i gdzie słychać ten szum, kołyszący morza, jednaki na wszystkich wybrzeżach. Nie widać już Jaggarnauthu, ni jego wieży dziwacznej; wszystko to zanurzone tam w dali, w mroku błękitnym. A morza zapachy, woń ostra drobnych roślin, któremi piasek zasłany, tu na brzegu tego morza Bengalskiego przypominają mi smętnie kraj mego dzieciństwa, stronę mego Oleronu...

Ci tylko rozumieją wszystek czar i wszystek smutek cierpki podróży, którzy w głębi swej duszy przechowują niestarte przywiązanie do zakątka rodzinnego.

(C. d. n.)



Z życia mrówek.

Ogólnie znanym jest wojownicze usposobienie mrówek; kto z nas nie obserwował tego osobiście? Dość rzucić na mrowisko konika polnego, pociomka lub jaki inny owad, by zobaczyć z jakim trudem biedna ofiara wydostaje się z uścisków marsowych owadów.

Równie ciekawym, jak i łatwym do sprawdzenia jest doświadczenie, opisane przez Forela; polega ono na obserwowaniu wyrzuconych z worka mrówek na otwartym miejscu. „Niema nic bardziej interesującego, pisze Forel, jak przyglądać się zaborczej działalności mrówek, biorących w posiadanie okoliczny okręg ziemi".

D-r Walther Schoenichen daje w „Prometheusie" kilka ciekawych faktów, tyczących się, działalności mrówek, jako obrońców kwiatów.

Niektóre z nich przytaczamy, zaznaczając że obrona słabszych i bezbronnych organizmów świata roślinnego i zwierzęcego przez inne, uposażone w środki do walki, zdarza się dość często.

Oczywiście, żadna dzielna armja obrończa nie myśli narażać swojego spokoju jedynie z poczucia obowiązku bronienia słabszych; musi ona otrzymać żołd, który wynagrodziłby ją za poniesione trudy. Otóż płacą dla mrówek są kro-

ple słodyczy, wydzielane przez potrzebujących obrony dla swych obrońców.

W górnych Włoszech chaber pierzasty (*Centaura montana*) daje pole do ciekawych obserwacji. Na 3—4 dni przed rozwinięciem się pączka zjawia się na kwiątku słodki nektar, po który pełzają mrówki.

Zaczyna się uczta; ale oto z szumem zbliża się żarłoczny owad, który z chęcią swemi silnemi szczękami obciąłby kilka listków pączka, co naturalnie, niekorzystnie odbiłoby się na dojrzeniu zarówno pyłka, jak i słupka, organów, produkujących nasienie. Ale daremne chęci żarłoka! Mrówki, odwzajemniając się za gościnność, przybierają groźną postawę, tylnemi nóżkami silnie przytrzymują się rośliny, przednie zaś nóżki i przednią część ciała wojowniczo zwracają przeciwko wichrzycielowi spokoju, zmuszając go do sromotnego odwrotu.

Powoli jednak pęczek otwiera kielich, objedzenie listków zaszkodzić może już tylko urodzie kwiatka, obrońcy nie są już potrzebni, i słodycz ginie zupełnie. Oprócz chabru w ten sam sposób bronią się i inne liczne jeszcze rośliny, modrzeniczka, sierpik i t. d.

Inne rośliny potrzebują obrońców w czasie zupełnego rozkwitu. Kto bliżej przyjrzał się kilkunastu egzemplarzom orlika (*Aquilegia vulgaris*) ten z łatwością mógł zauważyć, że u wielkiej ilości kwiatów znajduje się na ich końcu przy miodnikach przegryziony otwór. Szkodnikami są tutaj trzmiele, które dla krótkości swych trąbek, nie mogąc dobrać się do nektaru, przegryzają mocnemi szczękami w odpowiednim miejscu kielich i wysysają nektar.

Po takim uszkodzeniu kwiat zaczyna więdnąć, a wraz z nim giną i najdroższe jego skarby: pręciki i słupek. Nic zatym dziwnego, że zarówno orlik, jak i inne, w podobnym niebezpieczeństwie znajdujące się rośliny, chętnie wydzielają na zewnątrz część swego nektaru, aby tylko przynęcić do siebie mrówki.

Ciekawe zjawisko obserwujemy również u szafrańca (*Memecylon remiflorum*). Kwiat wydziela na zewnątrz siebie nektar, po który przychodzi jeden gatunek mrówek, podczas kiedy inny gatunek wpełza na roślinę w celu uszkodzenia kielicha. Wszczyna się wtedy walka między dwoma gatunkami mrówek: broniących i atakujących kwiat.

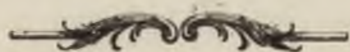
Możnaby wyliczyć całą masę przykładów, kiedy rośliny bronią się przeciw owadom przez wydzielanie nektaru na liściach i szypułkach. Bardzo znanym jest przykład wyki płotowej. (*Vicia sepium*), która, wydzielając na liściach słodycz, przyciąga do siebie mrówki, zawzięcie walczące z wrogami tej rośliny.

A oto przykład, ilustrujący fakt, w jaki sposób zwierzęta wydzielając słodki sok, zyskują w mrówkach obrońców. Dość często zdarza się obserwować w słoneczny dzień następującą idylę: na liściu znajduje się kolonja zielonych mszyc roślinnnych; łakome i wybredne mrówki ssą je z widoczną rozkoszą i o ten łup powstaje walka między niemi a pewnym gatunkiem os: *Diodontus americanus*. *Diodantus americanus* jest jednym z najmniejszych gatunków os; napada on na niewielkie i słabe stworzenia, i między innemi daje się dobrze we znaki mszycom roślinnym.

Jednak mrówki, zakosztowawszy słodyczy, bynajmniej nie są skore do opuszczenia swej oryginalnej „mleczarni" i z całym zapałem bronią jej przeciwko nieproszonym gościom. Zwyciężone nieraz osy, rezygnując z jednej kolonji, zwracają się ku drugiej, albo zupełnie nie bronionej, albo bronionej z mniejszym zapałem i oddają się już tutaj całkowicie swoim rozbójniczym instynktom.

We wszystkich wspomnianych przykładach daje się zauważyć jedna wspólna cecha: zobopólna korzyść bronionych i broniących.

Henryk Rygier.



„Listy, które doń nie doszły".

(Ciąg dalszy.)

Następne listy datowane są z Banff i pełne poetycznych uniesień nad uroczą przyrodą Japonji. Czy rozrzewniające piękno natury, czy moc przeżywanych wspomnień wspólnych, może tylko miłe złudzenie podzielanych wrażeń, zrośnięcie się duchowe ze swoim... milczącym

korespondentem, albo wreszcie wzrastająca tęsknica, w miarę, jak przestrzeń rośnie pomiędzy piszącą a tym, co został za morzem, — niewiadomo, za sprawą czego, dość, że listy stają się częstszemi i serdeczniejszemi w tytułach.

„Drogi przyjacielu! — zaczyna się list z Banff, świat jest tutaj tak piękny, że muszę znowu pisać do ciebie.” A dalej:

„Po trzech latach pobytu w Pekinie, gdzie piękno tak rzadko objawia się przez naturę, gdzie znaleźć je mogłam co najwyżej w sercu i duszy człowieka, jest to dla mnie wprost objawienie spostrzec, jak świat jest piękny. Czyli naprawdę to wszystko tak kwitło, świeciło, błyszczało, pachnęło, szumiało w ciągu tych ostatnich szarych lat, które przeżyłam w owym dalekim mieście, gdzie wszystko było mi tak nieskończenie obcym, gdzie serce ściskało mi się tak często przestrachem jakby w przeczuciu tajemniczego losu, którego nic nie odwróci?”

Wobec tych groźnych chmur, które zawisły nad losem tych dwojga ludzi, które nakazały im się rozłączyć, które toczą się wciąż jeszcze z pogwarem tajemniczym nad głową tego, co musiał wytrwać tam, na swoim stanowisku, a trwogą o niego przejmują serce oddalającej się przyjaciółki—tym bardziej ujmującym jest stosunek obojga do chińczyków.

„Pan myślałeś i czułeś nawet za nich, — pisze ona — podczas gdy wszyscy inni na pragnienia i poglądy chińczyków patrzyli jako na *quantité négligeable*, sądzili, że mają prawo wciągać ich gwałtem w wir tak zwanego postępu i karać za to, że dali się komuś innemu ograbić w obawie przed większą grabieżą z innej strony! Każdy napędzał chińczyków, aby ostro występowali przeciw wymogom... innego.

CHARBIN.



Bank rosyjsko-chiński.

Autorka listu powiada, że w Pekinie nauczyła się pogardzać powodzeniem, ponieważ widziała zblizka, czym się ono osiąga: przez jednych — przekupstwem, przez innych—groźbą gwałtów.

Biedni chińczycy stali się całkiem zzewnątrz i wewnątrz bezoporni przeciw złotu i armatom.

Autorka przypomina, że Li-Hung-Tschang parokrotnie potrafił postawić opór pretensjom pewnego państwa... tylko dlatego, że z tyłu groziło mu inne, przed którego zdolnością przekupiania i mocą wojenną doznawał jeszcze większego strachu!

Pekińskie powietrze ma całkiem osobliwy wpływ na białych ludzi. Albo stają się oni tam bardziej chińskiemi, niż sami chińczycy, namiętnemi przyjaciółmi i obrońcami Chin, jak większość tłómaczów, urzędników celnych i dyplomatów starej szkoły, albo — taką jest cała młodzież—oszałamiają się oni swoim nadczłowieczeństwem, gardząc nieskończenie wszystkim, co jest chińskie.

W celach grabieży używają oni wielkich słów: „patrjotyzm, ekspansja, nowe dziedziny zbytu, punkty oparcia” i dla tych celów zupełnie miałkie dusze biurokratyczne „drapują się w strój Cezarów Borgia, udają uczniów Mac-

chiaweła i Nietschego." Autorka czyni trafną uwagę:

A pomimo to wszystko, my właśnie nie jesteśmy gieneracją nadludzi. My jesteśmy wątpiciele, szydercy, niezadowoleni—braknie nam do nadczłowieczeństwa niezbędnego rysu. Musielibyśmy przedewszystkim wierzyć w samych siebie—a kto to dziś jeszcze umie?—Gdybyśmy byli uczciwi, poznalibyśmy w sobie biednych blaszanych bożków—imponujemy jeszcze może dzikim ludom, ale nie sobie samym, z pewnością!

Korespondentka nasza posuwa się coraz dalej na zachód. Jedzie do Ameryki. Nie możemy się oprzeć potrzebie przytoczenia pewnego ustępu z jej listu, pisanego w wagonie, jeszcze na gruncie japońskim. Jakkolwiek głównym zamiarem naszym jest wynotować wrażenia z Chin, ale ten ustęp jest tak piękny, że prosi się o przekład. Maluje on duszę autorki:

„W kłopotach i troskach życia powszedniego, których los nam udziela niby opjum, abyśmy zapomnieli o większych cierpieniach naszego serca, nie mamy niemal czasu rozmyślać o wielu, wielu rzeczach, które straciliśmy na zawsze. Ale podczas wieczorów długich dni podróżnych, kiedy książka wyślizgnie się z rąk i zmęczone oczy wyglądają z okna wagonu, kiedy pociąg huczy po szerokiej równinie, a jego cień, wydłużony olbrzymio, spieszy obok, po drżącej powierzchni traw, kiedy wszędzie dokoła nas rozwiązują się trwałe kształty i rozpływają w szarej mgle, — wtedy chwytają nas za serce zimne palce tajemniczych rąk, nieskończony ból, próżna tęsknica, gorzkie wspomnienie napełniają nam dusze. To jest godzina, kiedy przepadłe, umarłe, zmartwychwstaje w pamięci i my naraz zauważamy, jak staliśmy się biedni!"

CHARBIN.



Ulica Techniczna.

Może takiej godziny pisząca spostrzegła, jak wiele straciła, wyjeżdżając z Pekinu; może zrozumiała nagle, że jej przyjaźń była miłością; może uczuła to, do czego przyznać się nigdy nie śmiała, do czego nigdy się nie przyzna; może naraz pękła jej nadzieja na to, że on kiedyś przyjedzie stamtąd; może przeczucie szepnęło jej, że nawet to niewiele, co miala szczęśliwego w życiu, stracone zostało — na zawsze!

Korespondentka nasza staje wreszcie w Nowym Jorku i tu pozostaje na dłużej. Przybyła z Pekinu budzi ogólne zaciekawienie. Ledwie opędzić się może pytaniom, tłomacząc, że ani ona, ani przybyły z nią chińczyk *Ta* nie są dyplomatami i nie wiedzą nic, co się dzieje w wielkiej kuźni politycznej. *Ta* budzi zresztą uwagę swoim wyglądem. Na ulicy otaczają go tłumy gapiów. Autorka zauważa a propos swojego sługi-chińczyka:

„Ten człowiek ze wschodu, któremu przecie wszystko na gruncie amerykańskim musiało się wydać nowym i obcym, w porównaniu z zachodowcami wydał mi się wyższym dzięki wrodzonemu i nabytemu przez wychowanie spokojowi. Nie okazał on ani zdziwienia, ani

ciekawości. Rzekł tylko: „kiedy mnie dosyć obejrzą, to pewnie przestaną!"

Pomijamy w streszczeniu naszym dowcipne spostrzeżenia autorki o wyższym towarzystwie amerykańskim, jej wyborne charakterystyki jankeesów, trafne sądy o prądzie imperjalistycznym, ogarniającym Stany Zjednoczone. Nie zatrzymujemy się nawet na bardzo współczesnej sylwetce mr-a O. Doyles'a, który zrobił miljony na wynalezionym przez siebie tanim sposobie transportowania trupów chińskich z Ameryki do Chin. Jak wiadomo, chińczycy dbają o to, aby ich umarli leżeli na poświęconej ojczystej ziemi. Mr. O. Doyle znalazł mumifikacje trupów, które po pomalowaniu jakimś środkiem chemicznym, można wysyłać oszczędnie t. j. „po kilkanaście sztuk w jednym pudle, ściśniętych; jak sardynki."

Radzibyśmy zatrzymać się choć na chwilę na rzewnym opisie świąt Bożego Narodzenia, w obchodzie których bierze udział *Ta*. Jest on bowiem wyznawcą wiary chrześcijańskiej. Ciekawy obraz stanowi pełna świateł choinka na tle pokoju, urządzonego zupełnie po chińsku. Może gwoli wspomnieniom przyjaźni raczej, niż samego Pekinu, za pomocą draperji i mnóstwa zwiezionych drobiazgów artystycznych udekorowała sobie autorka listów pokój nowojorski zupełnie, jak tam. *Ta* przygląda się i raduje. I on czuje się przeniesiony tam. Śród mnóstwa przedmiotów, zwraca uwagę zwłaszcza zegar; na nim stoi kogut, który—zdaniem piszącej—wprawdzie pianiem wzywa wolności, ale minę ma tak sceptyczną, jakgdyby dawno przestał w nią wierzyć.

„Kiedyś mi Pan dawał ten zegar w darze, powiedziałeś do mnie: „Pasuje on do Pani doskonale: ma podstawę według starego odziedzicznego smaku, który pochodzi od wielu pokoleń; te figury smoków znaczą pociąg do dziwnych przygód, rys mistyczny, który w Pani istnieje, skłonność do rzeczy niepojętych, co budzi się w nas, im bardziej widzimy, że skończone, rozumne, realne nie wyjaśnia nic i ostatecznie zawsze się kończy wielkim znakiem zapytania — a jako szczytowy punkt całej budowy mały odważny kogut, który quand même o świetle i o wolności pieje, który przeżył wiele szarych i smutnych dni i zda się mówić, iż po jego ustawicznych nawoływaniach musi wejść wreszcie słońce!"

Korespondentka przypomina sobie powyższą charakterystykę, którą tak trafnie skreślił jej przyjaciel. Stosuje się ona, mówiąc nawiasem, wybornie do autorki utworu, o ile dusza jej przegląda z tych listów. Tymczasem wieczór wigilijny chyli się ku nocy. Dopalają się świeczki na choince.

Ta gasił te światełka w miarę, jak się dopalały – zupełnie jak w inne wieczory wigilijne. Czasami zielone igły stykały się z płomieniem, skwierczały i żarzyły się, przez pokój szedł niby powiew leśny — tak, tak wszystko, jak w inne wieczory wigilijne!

Nie wszystko! W pekińskie święta Bożego Narodzenia prócz *Ta* był i on, teraz daleki. Wstydliwa tęsknota piszącej nie dopowiada tej myśli w liście do niego...

Wysyłając dwudziesty z rzędu list, datowany już w styczniu r. 1900, korespondentka czyni uwagę znamienną:

Miastem cierpień i przeszkód nazywałam często Pekin – a przecież lubię to szare, posępne miasto. Mam często wyraźne poczucie, że należę do niego, że ono mnie trzyma na wieki, choć dzieli mnie odeń przestrzeń ogromna. Boję się, że jestem jako inni ludzie, którzy żyli w Pekinie i odtąd nie mogą przestać pisać o nim i mówić.

Mniema ona, że to zemsta Chin na białych ludziach. Zaczynają oni od tego, że chcą Chinom zabrać kawałek gruntu. „Ostatecznie zaś wsiąkają w grunt chiński"... Jest to stosunek niemal stereotypowy, jeżeli wziąć pod uwagę, że „w Chinach wszystkie rzeczy mają skłonność stać się stereotypem".

W marcu r. 1900 odwiedza naszą znajomą prowikarjusz Hofer. Jest on księdzem katolickim. W Pekinie, jak wszyscy księża katoliccy, stosując się do zwyczajów miejscowych, nosił nawet warkocz, tylko cieńszy, niż noszą tubylcy. W salonie nowojorskim staje „odchińszczony", w szatach europejskich. Przecie *Ta* go poznaje i wita z radością, zadowolony, że może się z kimś wreszcie rozgadać po chińsku.

Prowikarjusz przywiózł naszej znajomej nowiny nieświetne. Przeczucia jej przyjaciela zaczynają się sprawdzać. W niektórych prowincjach wybuchły nieporządki. Po Chinach przewiało groźne słowo: „godzina obcych djabłów wybiła". Wodzowie partji Wielkiej Pięści już jawnie mówić poczęli: „rozprawimy się naprzód z chińskiemi chrześcijanami, potym z cudzoziemcami".

Autorka listów słucha ze zdziwieniem. Pomimo dawnych przewidywań swego pekińskiego przyjaciela, który — nawiasem mówiąc — wciąż jeszcze do Pekinu nie wrócił, wydaje się jej dziwną ta przemiana w pokojowym i cierpliwym dotąd usposobieniu chińczyka. Hofer tłómaczy tę przemianę straszliwą nędzą, która zapanowała wskutek przeprowadzenia licznych linji kolejowych i komunikacji paro-

statkowej. Zastąpiono zbyt spiesznie stare sposoby lokomocji, wiele rąk pozbawiono pracy, a tym samym pożywienia. Nastąpiła przytym zmiana kursu na dworze chińskim. Cesarzowa jawnie skłania się na stronę partji konserwatywnej: poczuła, że partja ta nabiera siły. Mandaryni, wrodzy europejczykom, znaleźli fawor w pałacu cesarskim. Chciwa polityka rządów europejskich zbierze teraz krwawy posiew—w tej samej chwili, gdy ślepo wierzy, iż czas nadszedł zebrać złoty plon od kapitałów. Duchowny przyjechał do Ameryki, aby poruszyć opinję miejscową, a następnie i europejską w kierunku obrony zagrożonych interesów świata chrześcijańskiego. Już dawniej czynił próbę podobną. Lecz spotykał tylko głuchych i ślepych.

„Uważam za swój obowiązek raz jeszcze dać ostrzeżenie — powiada — bo jeżeli obecny moment spóźniony będzie i nie uczyni się nic dla wstrzymania wypadków, to stanie się to, czego uniknąć pragniemy: możemy przeżyć w Chinach katastrofę, która dotąd nie miała podobnej!..”

Niebawem *Ta* poczyna odbierać niepokojące listy od matki-chrześcijański. Położenie chrześcijan-chińczyków staje się z każdym dniem niebezpieczniejsze. Matka wzywa *Ta*. Chińczykowi przykro opuszczać swoją panią. Gdyby matka nie żyła, obciąłby warkocz i zostałby w Ameryce. Lecz matka żyje, a rozkaz jej jest święty. Pietyzm względem rodziców i starszych jest cnotą chińczyków. Chińczyk, jeżeli nie jest przywiązanym synem, dbać będzie o pozory, iż nim jest, i dla tych pozorów największe ofiary poniesie. Poczciwy Ta, zapłakany, żegnany serdecznie przez swoje koleżanki w kuchni, odprowadzony przez swoją panią, siada przecie na okręt i jedzie. Pojechał z otwartemi oczyma w paszczę niebezpieczeństwu.

Biedny Ta—czytamy w liście—był jeszcze dla mnie ostatnim łącznikiem z mojemi chińskiemi latami! Odjechał!..

...A teraz od rozmowy z prowikarjuszem, mam takie uczucie jakgdyby te Chiny, które znałam, także uszły w przeszłość na zawsze.

Następne listy w maju r. 1900 pisane są— w Berlinie.

„On, o którym nie mówiliśmy nigdy — umarł.”

Obłąkany mąż zachorował. Na pierwszą wieść podążyła do jego łoża. Zdążyła — do świeżej mogiły. Pierwszy raz zwraca się wspomnieniem ku dalekiej przeszłości. Pierwszy raz rzuca na nią blady promień światła. Dowiadujemy się, że ów ktoś, na którego mogile stanęła, sprawił jej w życiu sporo cierpień. Ale on też cierpiał. Odpokutował. Przebaczyła mu wszystko.

On mi źle nie życzył — kochał mnie nawet niegdyś na swój sposób... tyle różnych rzeczy kursuje pod to nazwą: kochać!..

On mi źle nie życzył—zniszczył tylko całe moje życie—po to właśnie musiał długo żyć...

List kończy się smutnemi słowy:

Teraz we mnie jest wielka cisza; podobna jestem do domów wymarłych, w których chętnie zamieszkuje rezygnacja. Ten grób nie zmienił nic. Dziękuję losom, że z grobu tego żadna skarga nie mogłaby się podnieść przeciw mnie, dziękuję im, że we mnie także gorycz zamilkła dawno. Ból i współczucie — zostały mi tylko.

Ani jednego słowa radości, że została wolną. Ani wyrazu nadziei na przyszłość... Spowiada się przed swoim „milczącym korespondentem” z innych uczuć. Ciekawe kartki poświęca swoim „poszukiwaniom poczucia ojczyzny w Berlinie”. Niestety! jest tu jej bardziej obco, niż... w Chinach. Stary Berlin nowemi swemi posągami historycznemi wywarł na niej fatalne wrażenie. Pojechała do wioski rodzinnej. I tu doznała na wstępie rozczarowania. Śród cichych pól dawniejszych znalazła gwarną odnogę kolei. Jej luba wioska zmieniła się na tłumy kurort. Nakoniec w starym zamczysku, w którym nic się nie zmieniło, przeszłość zawołała na nią dawnym głosem. Znalazła wreszcie ojczyznę!

Przerzucam charakterystyczne kartki, dotyczące wrażeń na gruncie niemieckim i piękne karty, pisane na pokładzie okrętu „Cesarz Wilhelm”. Nasza znajoma zbliża się znowu do przystani w Nowym Jorku, gdzie ją wita posąg wolności. Następnie z uroczego „Parku Tuxedo” posyła „Dzień dobry!” swojemu przyjacielowi. Tutaj przeżywa chwile idyliczne. Tu zakradają się do jej serca pierwsze promienie nadziei. W jej listach bić zaczyna żywsze tętno.

Niebawem idyla zostaje przerwana. Za powrotem do Nowego Jorku autorka listów wyczytuje w dziennikach niepokojące depesze z Chin.

„Coś porusza się w podziemiach tamtejszego świata, niby legiendowy smok, co spał długo w łonie ziemi, wyciąga się i powstaje. W duszy chińskiej masy ludowej budzi się życie”.

Sama Europa przebudziła ten lud z wiekowej drzemki, narzucając mu swoje koleje, okręty, armaty, religje. Obraziła jego uczucia, przecinając linjami dróg żelaznych jego święte groby. Rozdrażniła go, spoglądając na Chiny, jak na dojrzały melon, który można było szar-

pać i dzielić na kawałki. A wszystko w przekonaniu, że przed europejskim żołnierzem stu chińskich w trwodze pobieży. Tymczasem niemożliwe staje się faktem. Depesze grzmią groźnie. Donoszą o zburzeniu letniej siedziby poselstwa angielskiego, o poruszeniu się ogromnych mas bokserów pod wodzą księcia Tuana. I oto w chwili, gdy Ameryka musi trzymać wojska na Filipinach, gdy Anglja zajęta jest Afryce, gdy Francję pochłania wystawa i miłym jest jej spokój.

Dziś rano wyczytałam w gazecie okropne wiadomości: „Poselstwa napadnięte. Poseł niemiecki zamordowany. Telegraficzne połączenie z Pekinem przerwane"..

Jest mi tak, jakgdybym stała przed zamkniętemi drzwiami, za któremi rozgrywa się straszliwa tragedja. Nagle słyszy się jęki. Krew leje się przez szpary na progu. Nie wie się, co się stało, ale czuje się, że stać się musiało coś strasznego, niesłychanego — chciałoby się pomóc, złamać zamek, wybić drzwi, spieszyć i ratować—ale nie można, nie można! Czuję na piersi niby ucisk gór.

Wobec tej „zagadki, która stała się w zagadkowych Chinach" autorka listów powiada:

„Znaliśmy chińczyków tylko jako biednych, uciśnionych ludzi Ucisk, wyzysk, bezprawie zdawali się oni znosić cierpliwie, niby wielkie katastrofy przyrody; może upatrywali w nich tylko obojętne objawy, towarzyszące jednemu wielkiemu złu, życiu. Całe wieki byli prowadzeni w karbach systemu, w którym wyzysk, niesprawiedliwość, oszustwo tak dogodnie opierają się na tchórzliwości i lenistwie wielkich mas...

I te Chiny powstają?! Widać przebrała się miara ich cierpliwości. Widać fanatycy, którzy rozżegli te masy, potrafili ocenić swoją moc; widać trafnie dostrzegli, że cudzoziemcy w Chinach ukołysali się sami do snu. Mści się teraz na Europejczykach to, że dla wygody własnej i w obawie przed komplikacjami nie umieli szczerze poprzeć partji postępu w Chinach, dali przebudzić się ciemnym siłom reakcji... Nie sprzyjali Chinom, nie nieśli im cywilizacji dla nich, dbali tylko o swoje interesy...

Lecz poświęćmy słów parę uczuciom osobistym autorki listów. Oto co pisze ona:

„Okropny sen dłuży się, żadnych wiadomości z Pekinu a co gorsza, żadnych wiadomości o Tobie! Ach, gdzie jesteś, przyjacielu? O, jakże współczuję z temi, co pozostali w Pekinie, z tobą, drogi przyjacielu! Myśli moje to szukają ciebie za szaremi mur mi, które tajemniczym milczeniem ukrywają niewiadomy los tylu ludzi, to błąkają się za tobą po ogromnych, wzburzonych Chinach, ze wszystkich stron których dochodzą wieści o rozruchach i rzeziach!

Nieco uspokajająco brzmią w czerwcu r. 1900 zapewnienia posłów chińskich, że cudzoziemcy w Pekinie są jeszcze przy życiu, że jakiś chiński gienerał broni ich przed zbuntowanemi tłumami. Piszącą podtrzymuje przytym nadzieja, że jej przyjaciel bądź co bądź musi znaleźć ocalenie. On był bodaj jedynym obcym, który współczuł Chinom prawdziwie; ma tedy śród chińczyków szczerych przyjaciół. On jest jedynym Europejczykiem, który Chiny zna doskonale i potrafi się ukryć bez śladu. Jednak ta ciągła niepewność, to pragnienie wiadomości i trwoga przed niemi — to wszystko ją męczy.

„A Ty, który może jedynym byłeś, coś to wszystko przewidział, gdzie jesteś, drogi przyjacielu? — oto pytanie, które jest moją męką. Widzę cię wciąż śród nowych niebezpieczeństw.

Kiedy-ż będziemy wiedzieli? albo... czy nigdy nie będziemy wiedzieli!

I naraz nadchodzi wiadomość telegraficzna od prowikarjusza Hofera, że jej przyjaciel podobno na krótko przed oblężeniem z Szanhaju wrócił do Pekinu!

Ta wiadomość jakgdyby napędza krwi do serca tej kobiecie, która dotąd „umiała tylko czekać". Straszliwa trwoga o niego otwiera jej oczy. Teraz już wie, czym on był dla niej. Jej listy stają się gorętsze, pełne wspomnień, obrazów chwil, spędzonych razem. Z kwiatu przyjaźni wybucha naraz woń odurzająca — miłości. Odnośnych kart nie streszczamy. Trzeba je czytać w całości. W oderwanych ustępach straciłyby żar i urok.

Nadchodzi lipiec. Spekulacja dziennikarska rozrzuca po Nowym Jorku sensacyjne wieści o rzeziach w Pekinie, o torturowaniu ludzi. Ona musi to wszystko czytać! Powiadają, że oblężonym w poselstwie francuskim nie warto już iść z pomocą, że pewnie nikt już z nich nie żyje. Z pod jej pióra wydobywa się krzyk rozpaczy:

(D. n.) *Leon Bielski.*



Książki i Czasopisma.



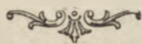
Artur Nowakowski. Z koszar niemieckich. 176 Regiment piechoty pruskiej w Toruniu—przełożył z francuskiego Ad. Strzelecki. Warszawa. Nakładem księgarni Kazimierza Idzikowskiego, Nowy Świat 21. Jest to jeszcze jeden przyczynek do dziejów barbarzyństwa pruskiego, napisany przez Artura Nowakowskiego (niemca) z zawodu aktora, który zacząwszy pełnić „święty obowiązek obrońcy ojczyzny", niedługo wytrzymał na łonie militaryzmu i nie mogąc znieść męczarń, zadawanych mu przez podoficerów, umknął do Szwajcarji. Tam, na bezpiecznym gruncie neutralnym, napisał swoją książkę, gdzie odmalował ponure obrazy życia koszarowego i przedstawił dzikie postacie podoficerów, których głównym zajęciem jest bezlitosne znęcanie się i katowanie podwładnych.

Ogrody przy mieszkaniach letnich (Kultury owocowe na suchych piaskach) napisał Jan Biegański. Warszawa. Nakład i własność Kazimierza Idzikowskiego, Nowy Świat 21 Wobec rozwoju letnich mieszkań na jałowych piaskach w okolicach Warszawy, książeczka ta jest bardzo na czasie. Może ona oddać usługi posiadaczom willi i ziemi, nabytej „na łokcie", zawiera bowiem zbiór wskazówek, niezbędnych do walki z piaskiem i zmuszenia go do możliwej produkcyjności. Autor, jak zapewnia, czerpał wiadomości, podane w książce, nie z podręczników, lecz z własnego i gruntownego doświadczenia. Książka składa się z następujących rozdziałów: Piasek i jego własności. Nawozy, nawożenie i przygotowanie gruntu. Ogrodzenie. Wybór drzew i krzewów owocowych Postępowanie z ogrodem.

Emil Duclaux. Higjena Społeczna, tłómaczył dr. Z. S. Warszawa. Wydawnictwo „Ogniwa", 1904. Jest to zbiór wykładów autora w szkole wyższych studjów społecznych, której jest dyrektorem.

Fotograf warszawski Nr. 10, zawiera następujące artykuły: Jak fotografować obrazy, medale i t. p. Z wystawy fotograficznej w Krakowie. Od Redakcji. Drobiazgi. Numer zdobi kilka doskonale wykonanych zdjęć p.p. Ł. Dobrzańskiego, S. hr. Kossakowskiego i T. Rajkowskiego.

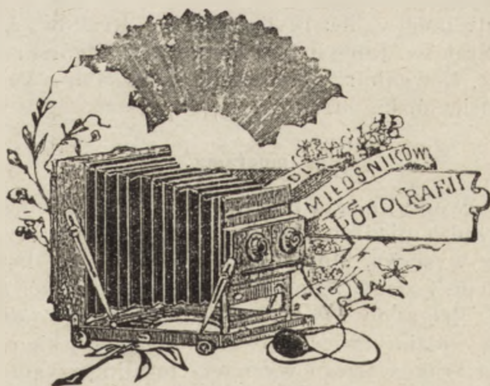
Stein der Weisen, dwutygodnik niemiecki, popularno-przyrodniczy, podaje w ostatnim zeszycie (14) artykuł p. t. *„Das problem der Weltsprache"*, zawierający krótki rys powstania i upadku Volapüku oraz obszerną wzmiankę o języku Esperanto, całkowitą jego gramatykę i zasady tworzenia wyrazów.



ROZMAITOSCI.

Kolej elektryczna na Mont Blanc. Przed kilkoma laty francuski inżynier Saturnin Fabre opracował plan kolei elektrycznej na szczyt Mont-Blanc. jak wiadomo, najwyższej góry w Europie, posiłkując się przytym doświadczeniem, nabytym przy przeprowadzeniu podobnej kolei na Jungfrau. Plan ten, uznany przez kierownika obserwatorjum na Mont Blanc d ra Ballot, oraz profesora mineralogji w Ljonie Deferret za wykonalny, został już przez władze zatwierdzony i ma być wkrótce wprowadzony w wykonanie. Kolej ta ma wychodzić ze wsi Houches i ciągnąć na przestrzeni 17,6 kilometra. Ma to być elektryczna kolej zębata, czerpiąca energję z siły prądu wód Arwy. Zaczynając się w Houches, na wysokości 900 metrów, stopniowo będzie się wznosiła pod górę do 1235 metrów, skąd otwiera się jej tak stroma droga, że w wielu miejscach będzie miała do przezwyciężenia pochyłość 80°. Niezmiernych tych pochyłości plan p. Fabre unika za pomocą przeprowadzenia w danych miejscach tuneli, w celu zaoszczędzenia podróżnym nieprzyjemnego uczucia, doznawanego przy podnoszeniu się na tak stromą wyniosłość. Stacje mają być następujące: Grand-Bechar na wysokości 2500 metrów z malowniczym widokiem na dolinę Chamounix i otaczające ją szczyty; druga na Aiguille du Gouter na wysokości 3800 metrów. Dalej następuje przystanek Dome z pięknemi gładkiemi drogami po twardym śniegu na olbrzymiej wysokości 4300 metrów. Następną stacją ma być Aux Bosses 4360 metrów nad poziomem morza, gdzie się znajduje obserwatorjum profesora Janssena i d-r Ballota. Stąd kolej na małej przestrzeni spuszcza się na dół, aby się przedostać po pod Col du Dome, gdzie grubość lodu lodowca wynosi 40—60 metrów. Tunel ten przeprowadzony zostanie w skale na 70 metrów głębokości. Krańcową stacją będzie Petits Rochers Roux, skąd 250 metrów do szczytu góry trzeba będzie przebywać albo pieszo, albo drugą koleją linową. Czas trwania podróży od Houches do Petits Rochers Roux wynosić będzie niespełna dwie godziny.

(in)



Wystawa fotograficzna w Krakowie.

Urządzoną we wrześniu r. b Powszechną wystawę fotograficzną w Krakowie pod względem *ilości* wystawionych okazów można było nazwać dość ubogą. Przedewszystkim raził mały zastęp fotografów zawodowych, biorących udział w wystawie. Jednym z powodów było zapewne to, iż wystawy fotograficzne w Galicji w ostatnich czasach urządzane są dość często (ostatnia odbyła się w Wieliczce r. 1903), drugim, że komitet wystawy dość późno rozesłał zaproszenia, a trzecia, że liczni amatorzy i zawodowcy z Królestwa oraz z Cesarstwa, wobec wojny na Wschodzie i związanych z nią poczęści interesów, odmówili udziału.

Naszym zdaniem, aby wystawa zgromadziła liczny zastęp wystawców, należałoby zaproszenia rozesłać przynajmniej na jakie 8—10 miesięcy przed otwarciem, gdyż każdy z wystawców pragnąłby wystąpić z czymś nowym i okazałym. Tymczasem krótki termin i nieodpowiedni czas, pozostały dla wykończenia studjów, stają na przeszkodzie. Co do jakości wystawionych okazów, to wiele z nich odznaczało się prawdziwie artystycznym wykończeniem. Przedewszystkim do nich za-

liczyć należy prace: pana i pani Mikolaschów ze Lwowa, Ludwika Rappaporta z Krakowa, Feliksa Strzałeckiego z Warszawy i wielu innych. W dziale technicznym, jak zwykle, prym trzymała fabryka optyczna Fos z Warszawy. W dziale zawodowym piękne okazy wystawili Sebald z Krakowa, Bahrynowicz ze Lwowa. Oskar Suck z Karlsruhe, K. Schenker i R. Huber ze Lwowa.

Również ponętnie przedstawiały się, będąc niejako nowością, fotografje barwne C. Mischewsky'ego z Charlottenburga.

Nagrody na wystawie otrzymali:

Medale złote: Regina i dr. Henryk Mikolaschowie ze Lwowa, Gabryel Habliński, Klemens Skrzyński i Wilhelm Kotiers z Krakowa, Paweł Benesch z Grazu, Oskar Suck z Karlsruhe, B. Steckiewicz (T. Bahrynowicz) ze Lwowa, Redakcja Wiadomości Fotograficznych oraz Józef Świtkowski ze Lwowa; Towarzystwo Fos (fabryka optyczna) z Warszawy, C. Mischewsky z Charlottenburga i J. Karpow (za nowoskombinowany praktyczny wywoływacz) z Warszawy.

Medale srebrne: R. Huber Lwów, dr. K. Liszniewski, Wiedeń, 'Marthe Francja, M. M. Łoman (Cesarstwo rosyjskie), Redakcja Fotografa Warszawskiego, M. Perlmutter—Wiedeń Ciosłowski—Kraków.

Medale bronzowe: Jan Wodecki—Nowy Sącz, Hubert Kaszubski—Król. Polskie, K. Bobek—Kraków, Wł. Gargul—Bochnia.

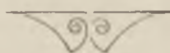
Dyplomy honorowe: Józef Switkowski — Lwów, Ludwik Rappaport—Kraków, St. hr. Kossakowski—gub. kowieńska, dr. K. Ostrowski—Kraków, Antoni Larisch—Kraków.

Listy pochwalne: B. Tyczyński — Kraków, J. Pareński—Kraków, Korwin—Serajewo, E. Podgórski—Kołomyja, Z. Lewenburg—Kraków, F. Strzałecki—Warszawa, M. Osiecimska—Kraków.

Inne wystawy.

Z powodu 75-lecia niezależności Belgji *Associaton Belge* urządza międzynarodowy zjazd fotograficzny, połączony z wystawą, która ma być otwarta d. 20 sierpnia roku przyszłego. Zgłoszenia należy przesyłać: *L'Association Belge de Photographie Bruxelle Palais du Midi.* Jak widzimy więc, Towarzystwo belgijskie racjonalnej od krakowskiego wyznacza termin przygotowywania okazów. Wiedeński *Camera klub* ogłasza wystawę sztuki fotograficznej, która ma być otwarta d. 15 lutego r. 1905. Zgłoszenia *Camera Club Wiedeń III—3. Lagergasse Nr. 3.*

Tellur.



Kronika Esperantyczna.

„Progresado estas vivo."



„Restado estas morto."

(Ciąg dalszy).

Kursa dawniejsze *(ciąg dalszy).* We wspomnianym wykazie *ogromnie uczęszczanych*, kursów paryskich z roku 1900 znajdujemy:

1) „Kurs pedagogiczny", wyższy, dla przyszłych nauczycieli języka Esperanto, wprowadzony z inicjatywy Paryskiego Towarzystwa Esperantycznego do wykładów w *Sorbonie* (sala Saint-Jaques, obok Sekretarjatu „Fakultetu Naukowego") od godz. 8½ wieczorem, w soboty. Wykładający: prof. dr. Teofil Cart.

2–3) Dwa kursa paryskiego „Touring-Club de France", powstałe dzięki hojnej pomocy tegoż Klubu *przy „Liceum Condorcet"*. Nauczyciele: prof. M. Clarac i prof. Liceum „Lakanal", P. Wintzweiller (Carrefour de l'Od 'on, 4).

Kursa pod egidą *de la Société d'Enseignement Moderne:*

4) *École Arago*, Place de la nation, 1. Nauczyciel: inż, E. Arnoult (Avenue Philippe-Auguste, 18).

5) *École Lavoisier*, Rue Denfert-Rochereau, 19. Nauczyciel: Gabriel Chavet (Boulevard Saint Michel, 125).

6) *École Colbert*, Rue du Château-London. Nauczyciel: P. Wintzweiller.

7) *École Turgot*, Rue Turbigo, 69. Nauczyciel: Julien Boitel, dyrektor tejże szkoły.

8) *École Communale*, Rue Saint-Ferdinand, 7. Nauczyciel: H. de Coppet (Boulevard Pereire, 174).

9) *École Communale*, Rue de la Jusienne, 3. Nauczyciel: M. Clarac.

10) *École Professionnelle de Jeunes Filles*, Rue d'Abbeville (Saint-Vincent-de-Paul) Nauczycielka: panna Alicja Roux. (Uczennic tego kursu było 120 z górą):

11) *École Communale*, Rue de Louvois, 6. Nauczyciel: Paul Fruictier, (Boulevard Arago, 27).

Kurs, urządzony staraniem *de l'Association Philomatique:*

12) *École Communale*, Rue de Fleurus, 14. Nauczyciel: Paul Berthelot (Rue Amiral-Mouchez, 13).

Kursa, zorganizowane staraniem *de l'Association Polymatique:*

13) *École Communale*, Rue Las-Cases, 27 (7-e) Nauczyciel: M. Hilleret, prof. literatury w Liceum ś. Ludwika, Rue Lagrange, 10

14) *École Communale*, Rue de Florence, 4 (8-e). Nauczyciel: P. Wintzweiller.

Kursa, zorganizowane staraniem *de l'Association Polytechnique:*

15) *École Communale*, Rue de Poissy, 27. Nauczyciel: prof. dr. Teofil Cart.

16) *Vincennes-Sant-Mandé* (Sekcja Politechniczna). Nauczyciel: E. Bouchet, prof Liceum.

Kurs Paryskiej *Szkoły Normalnej (Seminarjum Nauczycielskiego):*

17) *École Normale.* Nauczyciel: dr. Carlo Bourlet, prof. Szkoły Sztuk Pięknych i Liceum ś. Ludwika (Avenue de l'Observatoire, 22).

Tyle więc, jak widzimy, było wszystkich kursów języka Esperanto w Paryżu, pod koniec 1902 roku. Zobaczmyż jeszcze, ile ich w końcu tegoż roku było gdzieindziej:

5-go grudnia, cenzor liceum w Grenoble, prof. Evrot, rozpoczął w tymże Liceum kursu języka Esperanto dla 2-giej i 3-ciej klas retoryki oraz dla uczniów sekcji handlowej.

8-go grudnia t. r. prezes Towarzystwa Esperantycznego w Boulogne sur-Mer i jeden z najdzielniejszych propagatorów języka Esperanto, adwokat Alfred Michaux, poprzedzony piękną przemową reprezentanta bulońskiej rady miejskiej, d-ra Patin—otwiera w tymże mieście, pod egidą miejscowej Izby Handlowej, wobec 300 z górą słuchaczy, pierwszy swój kurs języka Esperanto.

9-go grudnia tegoż 1902 roku, dr. Albert Cadenat, prof. Kolegjum w Saint-Claude (Francja), wygłasza tam

że w wielkiej sali ratuszowej, pierwszą swoją lekcję języka Esperanto, przy tak ogromnym napływie publiczności, że na samym zaraz wstępie do kursu zmuszony jest oświadczyć, iż aby uniknąć nadmiernego natłoku słuchaczy, utworzy natychmiast i drugi jeszcze, równoległy kurs języka Esperanto.

W grudniu wreszcie roku 1902 czasopismo: „Czesky Esperantista" zawiadamia o pierwszym bodaj kursie języka Esperanto w Czechach, otworzonym przez p. Józefa Kubika w Duchcowie.

(*C. d. n.*)

Wystawy. Najważniejszą i najkompletniejszą z nowszych wystaw esperantycznych jest urządzona staraniem Towarzystwa Esperantycznego Paryskiego *„Sekcja Esperantyczna na Wystawie Powszechnej w St. Louis,* zawierająca 10 różnych działów, którym jednak z prawdziwą przykrością nie możemy, z braku miejsca, poświęcić tu obszerniejszej wzmianki. Kogoby jednak wystawa ta interesowała nieco bliżej, ten znajdzie szczegółowy jej opis w „Gońcu Porannym" Nr. 448, gdzie go podaliśmy jeszcze na początku września r. b. Inna znów z najnowszych wystaw esperantycznych była w Rouen, w księgarni p. E. Lainé. gdzie wystawiono na widok publiczny wielką liczbę książek, czasopism, kart pocztowych esperantycznych i t. p. Donoszą o tym szczegółowo pisma miejscowe: „Journal de Rouen", „Nouveliste de Rouen" i „La Dépêche de Rouen".

Podróże i Zjazdy. W ciągu tegorocznych ferji letnich, różni wybitniejsi esperantyści europejscy odbyli, w celu zapoznania się z esperantystami innych krajów, podróże do główniejszych ognisk esperantycznych lub na zapowiedziane tu i owdzie liczniejsze zjazdy esperantystów, które, jakkolwiek nie posiadały bynajmniej charakteru kongresów, były jednak niezmiernie ciekawe i pouczające, Liczniejsze owe zjazdy odbyły się w Calais, Havre, Dover, Rouen itd. Obszerne ich opisy podały różne czasopisma esperantyczne jak np. „Lingvo Internacia" Nr. 8, „The Esperantist" Nr. 11, „La Belga Sonorilo", Nr. 25 itd. Jeden z esperantystów francuskich, słynny lekarz, prof. d-r Brouardel, członek Akademji Francuskiej i honorowy dziekan paryskiego fakultetu medycznego, który odbył również większą w tym roku podróż po Europie, oświadczył publicznie w mowie swej na zgromadzeniu de l'Association Polytechnique, iż nawet w Niemczech zapytywano go niejednokrotnie, czy mówi po esperancku.

Zebrania i Uroczystości. W Amiens, we Francji, obchodzono niedawno z niezwykłą uroczystością drugą rocznicę założenia tamtejszego Towarzystwa Esperantycznego, przyczym prezes Towarzystwa p. Charles Tassencourt, konsul Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, na odbytym w tym celu ogólnym zebraniu członków, ofiarował w imieniu zgromadzonych profesorowi miejscowego liceum, p. Józefowi Delfour sekretarzowi i założycielowi Towarzystwa, artystyczną grupę bronzową „jako słaby dowód wdzięczności za niezmordowaną jego propagandę idei esperantycznej". Inne znów zgromadzenia esperantystów, mają charakter stałych zebrań towarzyskich, odbywają się co środy wieczorem w Saint-Etienne (Taverne Alsacienne, plac Marengo) dla ćwiczenia się przedewstkim w rozmowie esperantycznej. Takie same wreszcie zebrania i w tym samym głównie celu odbywają się w Chaumont, skąd czynią się liczne wycieczki pod przewodnictwem profesora miejscowego Liceum p. R. Deshays

(*C. d. n.*) *A. B. B.*



SPROSTOWANIE.

W n-rze 43 pod artykułem „Poczta w Japonji“ mylnie wydrukowano nazwisko autora „Stańko“ zamiast A. Stońko, co się niniejszym prostuje.

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata“: *w Warszawie rocznie rb.* 4, *półrocznie rb.* 2, *kwartalnie rb.* 1. *Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb.* 5, *półrocznie rb.* 2.50, *kwartalnie rb.* 1.25. *Za granicą rocznie rb.* 6; *wraz z* **„Bibljoteką ilustrowaną podróży i powieści“:** *w Warszawie rocznie r.* 6, *półrocznie rb.* 3, *kwartalnie rb.* 1 *kop* 50.—*Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb.* 7 *kop.* 50, *półrocznie rb.* 3 *kop.* 75, *kwartalnie rb.* 1 *kop.* 88 *Za granicą rb.* 9.—*Za odnoszenie do domu* 15 *kop. kwartalnie.*—*Zmiana adresu kop.* 20 —*Cena numeru kop.* 10.

Agientura w Łodzi: Księgarnia L. Fiszera, Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.**

Agientura w Częstochowie: Księgarnia J. Nowickiego i S-ki, Aleja II № 43.

Wydawca: **Antoni Orłowski.** Za redaktora: **Antoni Orłowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 14 Октября 1904 г. Druk Lepperta i S-ki, Elektoralna 18.